

Pokój ludziom dobrej woli

Odwieczna tęsknota ludzkości za pokojem i szczęściem na ziemi znajduje swój szczególny wyraz w wigilijny wieczór. Od dwudziestu wieków co roku rozbrzmiewają wzniosłe, mądre i słuszne słowa: Pokój ludziom dobrej woli.

Sprawa utrwalenia pokoju jest dla narodu polskiego sprawą największej wagi. Jak może żaden inny naród jesteśmy zainteresowani w utrzymaniu i utrwaleniu pokoju. Trzeba tedy, abyśmy właśnie w dniu, który jest świętem pokoju, uświadomili sobie, od czego zależy pokój, którego niewątpliwie wszyscy tak gorąco pragniemy.

Pokój na ziemi nie zależy od dobrej woli, od rozumu i poczucia sprawiedliwości jednostek, choćby najmniejszych. I oni wszyscy powiązani są układem stosunków społecznych, ulegają nakazom tego układu, interesom swej klasy. Pokój obronić może jedynie zdecydowana wola milionowych mas zainteresowanych w utrwaleniu pokoju.

Jeżeli dziś, w Wigilię 1948 roku możemy patrzeć w przyszłość z otuchą i wiarą, że pokój na ziemi istotnie stanie się rzeczywistością — to dlatego, że nigdy przedtem siły postępu zdecydowane bronić pokoju nie były tak potężne, nie wywierały tak decydującego wpływu na bieg spraw ludzkich w całym świecie.

A skoro tak jest — możemy ponownie poddać się nastrojowi radosnego święta, może na chwilę zakłóconego poprzednimi rozważaniami, niewątpliwie odbiegającymi od uświęconej tradycji, ale przecież — wydaje się nam — koniecznymi i pożytecznymi. Możemy zasiąść przy stole wigilijnym z ufnością i wiarą, że i w przyszłe

święta Bożego Narodzenia nikt i nic nie zamąci naszego spokoju i naszej radości z coraz większych

naszych osiągnięć i ich rezultatów wyrażających się choćby w sutszej wigilijnej, w licz-

niejszych darach i upominkach świątecznych.

Dzisiaj jeszcze nie jest dobrze.

I nie może być dobrze w kraju tak zniszczonym przez dwie burze wojenne, w ciągu pięciu lat ograbianym przez hitlerowskiego okupanta. Ale jest lepiej, niż przed rokiem, o wiele lepiej, niż przed dwoma, a w przyszłą wigilię będzie niewątpliwie dużo lepiej, niż dzisiaj, bo z każdym rokiem, z każdym miesiącem rosną siły twórcze narodu.

Zawdzięczamy to wielkiej przemianie, jaka dokonywa się w Polsce. Przebudowa naszego ustroju państwowego wyzwoliła już wielkie w ludzie polskim utajone siły, polityczne zjednoczenie klasy robotniczej dokonane na przedświątecznym Kongresie Zjednoczonym wyzwoliło nowe, wielokrotnie spotęgowało nasze siły twórcze, przyspieszy rozwój naszej gospodarki i kultury, przybliży lepsze, szczęśliwsze jutro narodu.

Możemy więc mieć każdą następną wigilię radośniejszą, szczęśliwszą. Trzeba jednak, aby trud i wysiłek ludzi dobrej woli i ciężkiej pracy, którym kraj zawdzięcza tak szybką odbudowę, podzielił i rzetelnie wsparli wszyscy Polacy. Niechaj rozważą ci dzisiaj już stosunkowo nieliczni, którzy jeszcze trwają w negacji, czy nie warto zrewidować swych poglądów, które nie pozwalają im włączyć się do ogólnego wysiłku dla ogólnego dobra, czy nie należało by łamiąc się oplatkiem złożyć przyrzeczenie dobrej woli i pracy dla Polski Ludowej tym, którzy za nią umarli, tym, którzy dla niej szczerze pracują.

Pokój ludziom dobrej woli. Pokój wszystkim, co swoją codzienną pracą i walką o nowy ład społeczny przeobrażają świat i budują trwałą pokój na ziemi.



Fot.: „Głos Wielkopolski” E. Kitzmann

Pod choinką...

Gdy mróz na szybach rzeźbi srebrne kwiaty
I śnieg jak watę otuli ulice,
Nad domy jasne wlatują śmiech skrzydlaty,
Jak na choince płoną gwiazdne świece.

I wzrok je ściga roziskrzony — dzieci,
Patrzących w drzewko, jak w radości tęczę,
Urok dzieciństwa blaski w nim rozniecił,
Nuta znajoma wśród gałązek dźwięczy.

W klejnoty strojne jak sama królewna,
Lśniąca koroną, łańcuchy — kolczyki,
Czarem otoczy je kołęda rzewna
I szczęściem pełnym dzwoniące okrzyki.

A gdy Pasterki nadejdzie godzina,
Zasypla dziatwa jak na boju wisku,
Tylko w dal pędzi parowa maszyna,
Żołnierze walczą w groźnych armat błysku...

I ja zasypiam zmorzony marzeniem,
Utkany z wspomnień złotej pajęczyny,
Koń na biegunach muska mnie jak cieniem,
Wabi pięknością lalka roześmiana.

I w noc się wie natchniony poemat,
Utkany z wspomnień złotej pajęczyny,
Choć już strofek niejednych w nim nie ma,
Jak dzieci przecież raz do roku śnimy...

TEODOR ŚMIEŁOWSKI

ZARZĄD GŁÓWNY SPOŁDZIELNI
WYDAWNICZO OŚWIATOWEJ

„CZYTELNIK”

SKŁADA NAJLEPSZE ŻYCZENIA

ŚWIĄTECZNE
I NOWOROCZNE

WIELOTYSIĘCZNEJ RZESZY
CZŁONKÓW I PRACOWNIKÓW
NASZEJ SPOŁDZIELNI ORAZ
WSZYSTKIM CZYTELNIKOM
NASZEJ PRASY I WYDAWNICTWA

CZYTELNIKOM,
WSPÓŁPRACOWNIKOM
I PRZYJACIOŁOM

naszego pisma oraz wszystkim,
którzy ofiarnym swym
trudem budują nową Polskę,
tworząc dobrobyt Narodu
serdecznie życzymy

WESOŁYCH
ŚWIĄT

Redakcja i Administracja
„Głosu Wielkopolskiego”



5 GODZIN LOTU

Autorka poniższego essey'u, znana pisarka Ewa Szelburg-Zarembina, jest laureatką nagrody stołecznego m. Warszawy. Stolica przyznała jej tę nagrodę w dniu 14 bm, biorąc pod uwagę całokształt twórczości Ewy Szelburg-Zarembiny w zakresie literatury dla dzieci.

zeka zwyciężenia wrogów ludzkości. Mówi w swej mowie, którą rozumiałam nawet wtedy, gdybym nie była wyrosła z tego pnia, co i moja mowa, tak to, co mówi człowiek ten, proste



jest: Broniąc ojczyzny, oswobodzili i nas.

„Teraz i wy żyjecie już swobodnie. My jeszcze pobijemy Hitlera w Berlinie. Pobijemy i wrócimy do pracy.”

Ilja Muromiec z Bylin, jadący samotnie, marynarz z okrętu „Potiomkin”, leningradzki robotnik w podmuchu wielkiego Października, obrońca Stalingradu, chłop kołchozowy, zdążający na pancerce przez polskie drogi do gniazda hitlerizmu w Berlinie — zawsze to ten człowiek, którego spotkam teraz (w trzy lata po wojnie, po trzech latach odbudowy) gdy aeroplan, startujący w Warszawie w ciągu pięciu godzin lotu przenosi mnie na lotnisko pod Moskwą.

W Moskwie jestem po raz pierwszy. Po raz pierwszy w ZSRR.

Jeżeli podróż odbyła się w przestępnym normalnie określonej kilometrami i w czasie liczonym na godziny, to był to tylko pozór. Naprawdę przeżycia zostały po prostu w inny wymiar, co czuję już z pierwszym oddechem, przynależnym do nowego świata, z pierwszym usłyszeniem słów i pierwszym zamienieniem uściskiem dłoni, oswobodzonej od rękawiczki.

Od tej chwili brak mi będzie słów — na wszystko. Słowa, którymi rozporządzałam dotąd, zachowują już tylko swój dźwięk, ale treść wypełnia je inna i barwę uczuciową mają inną. Nawet te, zdawałoby się jednoznaczne: miłość, praca, sztuka.

— Cóż — myślisz — prostszego, jak opisać kolejno doznane wrażenia niespodzianki, podziwu, wątpliwości, zachwyty, leku i spokoju. — Cóż — myślisz — łatwiejszego, jak skreślić wygląd miasta, ulic, ruchu, oddać wizerunek ludzi w ich miejscach pracy i rozrywki. Ileż bo już oglądało się, po raz pierwszy, stolicę i ich mieszkańców.

Tak, mogłabym napisać, że położenie Moskwy... że jej architektura... że niezwykły rozmach budownictwa... że ruch samochodowy... że metro (moskiewskie metro!)... że pałace kultury... nocne sanatoria wielkich zakładów fabrycznych... że żłóbki, wypożyczalnie dziecinnych zabawek do domów... frekwencja w teatrach, muzeach, bibliotekach... To wszystko byłoby prawdą i — nie byłoby nią. Ani ZSRR nie jest krajem jak inne. Ani Moskwa innym stolicom podobna. Ani ludzie tamtejsi — nie cudzoziemcy, oglądani przez turystę.

Najbliższe prawdy byłoby wyznać, że jest to po prostu cały świat. Nowy. Ze są to twórcy świata. Innego. Określić go? I ich?

Są dzieła temu poświęcone (we wszystkich językach mnóstwo), pisma, filmy, wreszcie góry cyfr i jest — życie. Ani wiarogodne dzieła, ani pisma, ani filmy, ani ściśle cyfry nie oddają całkowicie wagi tego, co już tam jest, wagi tego, co jeszcze będzie. Życie, ono — raz. Ale po to trzeba znaleźć się tam choć na krótko. Samemu na własne oczy i uszy usłyszeć, zobaczyć, dotknąć. Dotknąć ciała i krwi teorii. Żywego ciała i pulsującej krwi — socjalistycznej, komunistycznej świata.

Na Kremlu, gdzie pod chmurnym niebem złoci się las starych kopuł, gdzie w salach muzealnych lśni złoto carskich i cerkiewnych skarbów, dane mi było oglądać dzwon — olbrzym, dzwon-car, największy ze wszystkich dzwonów świata. Leży na ziemi, a wiatr ze śniegiem przenika skroś jego rany. Dzwon-rozbitek jest także dzwoniem-niemową. Przed kilkoma setkami

lat, w dnu, w którym na rozkaz i dla dumy cara został ulany i podnoszony go na dzwonnice, od tarcia spłżowego ciężaru zatliło się drewniane rusztowanie. Runął spłż z rozgorzałego pożaru prosto w wodę w dole, dno przebił i pod ziemię na wiele stóp się zarył. Znikł z powierzchni; nie zdążywszy wydać dźwięku. Zapomniany przeleżał pod ziemią czas długi, aż wydobyło go z trudem na powierzchnię. Z powierzchni tej ziemi znikli carowie. Dzwon leży tu i teraz także, dzwonnica, dzwon największy w świecie.

Ale ja dziś inną opodal oglądałam wielkość.

W Stalinowskich Zakładach Automobilowych w odlewni płoną piece, gdzie wrą metale. Hałę wypełnia żar, olbrzymie iskry — pomarańczowe, purpurowe i błękitne włócznie ognia ciskane z wnętrza pieców — prują mrok. Strumienie metalu pienia się oślepiającym białym blaskiem. Biała rzeka płynnego metalu skręca posłusznie, kierowana rękami kobiety. Kobieta twarz, złota od potu, schyla się spokojnie, miarowo nad żelaznym kłpiatkiem. Oczy z lekką odsłoniętą ochronnymi szybkami, patrzą uważnie — uważnie.

Wśród zawieruchy iskier i płomieni, urzeczona, posuwam się wraz z robotnicą wzdłuż jej trasy przez hałę. Patrzę na ręce te, na twarz surową, jednobarwną, jak wyrzeźbioną z piaskowca na całą postać tak drobna, a tak olbrzymia. Nie mówię do niej. Ruch każdy jest tu obliczony i obliczona jest każda minuta. Ale oto kobieta o jakiejś chwili obraca się, na mgnienie, ku mnie i na mgnienie cała rozkwita uśmiechem przelotnym a serdecznym, jak skłnienie dłoni u skrzyżowania spotykających się dróg.

Zabieram ze sobą ten uśmiech, gdy odchodzę stamtąd.

„Może spotkamy się jeszcze dziś wieczorem w teatrze na sztuce (francuskiej), gdzie ludzie mówią wierszami i umierają z miłości do siebie („Cyrano de Bergerac”), albo na tej drugiej (rosyjskiej), gdzie także umierają, ale z prostego obowiązku, broniąc świadomości i zwycięsko życia całego miasta, całego kraju („Pobiedieteli”).

„Może wymienimy się w walcu wśród tysięcy par, tańczących na parkiecie balowej sali w Pałacu Kultury, lub ustapiemy sobie krzesła w zacisznej czytelni literackiego kółka?”



„A może, gdy ja będę zasypiała w hotelu, ona zdrzemnie się mimo woli, oparta łokciem o stół nakryty do wieczery, przy którym dzieci nad rozrzuconym atlasem motyli dawać będą sobie znaki spokoju, aby nie spłoszyć snu strudzonej matki.

Za dnia, w czasie wolnej zmiany, na jej przyjęcie do Tretiakowskiej Galerii Malarstwa czekają zharmonizowaną Trójką wiśniowo-niebieski niebiesko-zielony i ten trzeci anioł, któremu przed półtysiącem lat Andrej Rublew nie zdążył pokryć sukni żadną barwą. Pogodni, z ludzkiem, głębokim wzruszeniem w malowanych twarzach, wtajemniczą w wieczne żywy Świat piękna ją, która cała jest pięknem.

Pięknem i siłą swego kraju są kobiety radzieckie. Portrety ich są tak liczne wśród przodowników pracy w fabrykach, nazwiska tak gęsto wypełniają karty złotej księgi, że czujesz wszędzie ich czynną obecność. Jest tak, jak gdyby potęgą macierzyństwa przekroczyła granice poszczególnych ciał, rozsunęła szczerpłe ściany rodziny i objęła, twórcza i opiekunka, cały ten zdumiewający, trzydziestojedyni świat.

Pamiętające chyba jeszcze puszki-nowskie skazki, rzeźbione w drewnie, farbowane na zielono, niebiesko, żółto i cynamonowo obramienia okienek i drzwi niskich na przedmieściach domków, pobielone zostają pierwszym

śniegiem. I śnieg po gładkich, białokamiennych ścianach wielopiętrowych, wspaniałych gmachów państwowych i bloków mieszkalnych robotniczych zsuwa się bezzilnie na asfaltowe chodniki.

Szklane, choinkowe puszki śniegu wirują w północnym wietrze nad ulicznymi stoiskami i osiadają na stożkach bladoróżowych, stożkowatych jabłek i drobnych, zielonozłoty mandarynkach. Lśniące paznokietki sprzedawczyń, odzianej w śnieżnobiały chałat, migają purpurą lakieru wśród owoców i śniegowych gwiazdek. Czerwonymi językami zawzięcie liżąc lody w srebrzystych papierkach, dzieci wędrują ze śmiechem przez pierwszy śnieg. Zgromadza je dziecięcy teatr. Brzeczając i szemrząc, wypełniają go szczerlinie, od parteru po galerię. W powodzi małych widzów — wysepka — widz dorosły: ojciec, matka lub babka, nauczyciel. Dzieci z pogodą znoszą ich obecność, całe zajęte swoim obecnym



na widowni autorem (Michałkow, laureat nagrody Stalina), jego fragmentami dobrze im znanych sztuk, jego wezwojami, dydaktycznymi wierszami, które umieją na pamięć. Dla nich recytują je, dla nich grają najlepsi aktorzy moskiewskich teatrów, a dzieci nagradzają artystów oklaskami, świadome ważności swego uznania. Gdy na scenie, w sztuce „Czerwony krawat” rozgrywa się dziecięcy dramat młodzieńczego pioniera, wszystkie „czerwone krawaty” na widowni (jest ich mnóstwo) zdradzają tak oczywiste dłoni, że nie ma koło niego sceny, widowni, nie ma teatru, ale jest jedno, realne życie.

Na przerwie dochodzi do głosu kuszaczki słodka limoniada i „pirożnym” — bufet. Ale równy, nawet większy jest tłok młoców i młodzieży w kuliarach przed wystawą książek pomyślaną ciekawie i pięknie wykonaną. Gdy książka stała się tu potrzebą, jak pożywienie. Bez sztuki na codzień nawet dzieci nie mogłyby się już obejść, a pisarz ma właśnie dla nich klucz do tego, co dobre, szlachetne, piękne i — pożyteczne społecznie.

Tłok (ale nie ścisł bezmyślny) bywa tu we wszystkich teatrach, kinach. Chocąc obecnie trafić do muzeum, doprawdy wystarczy spojrzeć kolejkę ludzi przed wejściem do jakiegos gmachu. Bo tutaj ludzie walą do muzeów jak w innych krajach na sensoryjne igrzyska. Ale i muzea tutaj nie są podobne muzeum gdzie indziej. Oto krok za krokiem, przez amfiladę sal przesuwam się w tłumie starych chłopów, młodych żołnierzy, robotnic, robotników, dzieci szkolnych, inwalidów wojennych, słuchaczy wyższych uczelni, ekspedientek. Przyciszone, ale wyraźne, harmonijnie stonowane głosy przewodników nadają rytm poruszającym się tłumom. Nie idą z żadną z gromad kraja między nimi a co chwila to dziecko w szarym, watoowanym płaszczku i z rozczarowaniem z ciekawości uszka, to kościsty starzec z jakimiś godnymi wstążeczkami i orderami w klapie schłodzonej marynarki, to rumiana kobieta w sztydelkowej blacie chusteczce, naciągającej aż na jaskółcze skrzydełka czarnych, prostych brwi nad z lekką skośnością, bławatkowymi oczami — uśmiechając się do mnie przyjacielsko i zapytując mnie ufnie o jakieś szczegóły zastanawiające ich przed gablotkami. A gdy nie od razu zdobywam się na odpowiedź, lub odpowiadam niezupełnie dla nich zrozumiale, zawsze znajduje się ktoś kto usłyszał, wie, pokaże, wytłumaczy, gdyż wielu bywa często tu w Muzeum Lenina, które jest całe jakby jednym, na liczne karty sal rozpisanym podręcznikiem historii. Historia Rewolucji i dziejami Wschodnio-śkiej Komunistycznej Partii bolszewików. Tej partii której twórca umarł — Lenin i wódz żywy — Stalin, czuwają nad Moskwą, nad Związkiem Socjalistycznych Republik Rad.

Ostro tnące kropki deszczu wmlęwały się w lepki śnieg, gęsto lecały. Wiatr zły, lodowaty kasa twarz, szarpie odzież, przenika ciało, kości i spłik w kościach. W deszczu, śniegu,

na tym wietrze stoi i wciąż powiększa się nieprzeliczony snur ludzi. Milczą. Cierpieli. Cali wydani na potęgę wzruszenie. Twarze im stężyły skupieniem. Oczy mają utkwione w to, co przyciąga tu ich wszystkich: w ciemny, połyskliwy blok marmurów, rysujący się w czerwonego muru Kremlu na Czerwonym Placu (placu czerwienionym krwią ludu moskiewskiego, kaźnionego na nim przez carów Iwana i Piotra) — Mauzoleum Lenina.

Mijają kwadransy, godziny. Snur ludzki w głębokim, w zupełnym milczeniu zbliża się wolno do wejścia. Krok za krokiem posuwa się czarnym marmurowym wnętrzem. Krok za krokiem schodzi po stopniach czarnych marmurowych schodów w dół, pod ziemię, aż do miejsca wiecznego spoczynku swego Zmarłego.

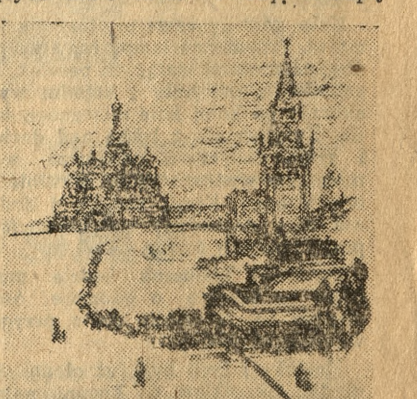
Kryształowe tafle nie zatrzymują spragnionego wzroku nawiedzających. Przez chwilę tyle tylko długa, ile trzeba na okrażenie wolnym krokiem śmiertelnego łoża — oczy łaknące tego widoku spoczywają na nieruchomej postaci tego, którego całe życie było zaprzeczeniem bezruchu, martwoty.

Wielka jest siła w przywiązaniu ludzi do idei, która oblokła się była w kształt cielesny, chociażby i śmiertelny. Nie ze śmierci jednak płynie wielkość Zmarłego, lecz z jego nieustającej tutaj obecności. Gdy dotykam ramieniem drżących ramion ludzi, z jakimi zstępuję do tego grobu, który zaiste jest kolebką ich wiary i siły, czuję, iż jest on obecny tutaj, pod marmurami i tam, na Czerwonym Placu w wchodzie i w śniegu i w deszczu, w pędzie maszyn, w piętrzeniu się gmachów, w tętnie metra, w sercach i mózgach ludzi.

Z mauzoleum-trybuny, razem z żywymi członkami rządu i partii przybijają parady armii i defilady robotników.

Zaklaskują podkowy konnicy. Toczą się koła wozów wojennych, armat, katuszy. Grzmotem swego lotu napełniają niebo rakietowe samoloty. Płyną sztandary. Unoszą się nad falami głów podobizny zasłużonych bohaterów pracy. Migocą, lśnią transparenty z chem okrzyki na cześć wodza — Stalina, na cześć tow. Stalina. Huczy plac, tętni, dzwoni bruk i ziemia drga pod brukiem od stapań tysięcy i tysięcy nóg, maszerujących naprzód, naprzód, naprzód.

Oczy olśnione kolumnami wojska, oczy oślepienne wojennym żelazem zatrzymują na długo na jednym z mijających mnie ludzi. Młody, szczupły



Rysunki Witza.

mężczyzna z otwartą, jasną twarzą, skłoną do zamyślenia, z ciemnymi, pełnymi blasków oczami. Wysoki, góruje nad otaczającą go grupą muskularnych towarzyszy. W prawej ręce wznosi nad głowami szkarłatną tablicę ze złotymi literami wypisanym postanowieniem przekroczenia planu produkcji fabryki tkackiej. Gdy tak odmaszerowuje od trybun, głowę trzyma jeszcze na baczność ale czy już zwrocił, opuścił ku lewemu ramieniu swemu, na którym, jakże ostrożnie! niesie, obciążony jest mocno. swoje roczne dziecko w hielutkich rajtużkach i błękitnym sweterku. Dziecko wyciągnęło rączkę i dotknęło palcem rozsuwanej, złotej frezdy transparentu a potem dotyka policzka ojca i śmieje się z radości. Ojciec może już teraz odwrócić głowę. Odwraca ją i odpowiada szerokim uśmiechem, w który obejmuję nie tylko dziecko, ale i młodą kobietę, maszerującą obok niego, krok w krok. Żona, matka.

Widzę ich jeszcze dziś, dwoje, w tym jednym uśmiechu zdążających naprzód, na uczczenie życia, na powitanie pokoju.

Im to i takim jak oni, chciałabym poświęcić moją sztukę, którą zaczęłam pisać po powrocie z kraju, jaki nie ma sobie podobnego.

1) Wrzątek.

2) Kółko literackie.

Wigilia w Ligocie

Fragment powieści Gustawa Morcinka „Wyrabany chodnik”

TYMCZASEM w Ligocie robiono przygotowania na wigilię.

Emil przyniósł z księżącego lasu młodą choinkę i teraz strugał dla niej podstawki. Dwa grube patyki na krzyż zbite, w środku wypalona dziura i gotowe. Helenka zaś stroiła choinkę. Z papieru zmajszowała śliczny łańcuch. Każde ogniwo było innego koloru. Zawiesiła go ostrożnie na pachnących gałązkach. Potem przyszła kolej na ciastka.

Ciastka były przeróżne. Jedno takie, drugie owalke. Jakies kółka, kolorowe gwiazdki, koniki, wykrętasz, a wszystkie tak smaczne i tak cudnie pachnące, że trzeba było bez ustanku palić polką. Następnie jąla wieszać orzechy. Złocili się w szarym świetle zapełnionego dala, lyskały pieszczotliwie kraglóstka, kołysały się na gałązkach, misternie powleczone pozłotką i nitką na krzyż przewiazane. Na szczycie choinki Emil umocował precyzyjną gwiazdę, wyciętą ze złotego papieru, z nalepionymi w środku przeróżnymi kółkami kolorowymi. Takiej gwiazdy chyba nikt nie miał w Ligocie. Z boku sterczała długa wiewcha ze złotego papieru, żeby każdy wiedział iż to gwiazda betleemska.

A kiedy i to było gotowe, przyszła kolej na świece. Śliczne to były świece. Jedne zielone, drugie żółte, inne modre i fioletowe i jeszcze przeróżne. Helenka żałowała tylko, że nie będą się paliły takim samym kolorowym płomieniem.

Emil owijał je cienkim drucikiem i do gałązek przymocował.

— No, to już my są fertyki! — zawyrokował, gdy ostatnia świeczka uciepiła się rozchylonej gałązki.

Postawili teraz swoje cacko na stole, odeszli kilka króków i obmacali z lekka oczyma. Czy też to ładne?

Ale śliczne!

Helenka ała w dłonie zaklaskała i pobięła do kuchni po matkę.

— Pójdźcie się mamulko popatrzeć, jakie piękne mamy drzewko!

Przyszła Waloższka i złożyła dłonie w podziwie.

— Nale bez uroku, toć jest piękny stromek! No fajnie to zrobiliście, hym, hym! — i pokręciła głową z uznaniem.

Potem jeszcze przyszedł ojciec i też się dziwił.

— Wiesz, Emilka — przypomniała sobie zienacka dziewczyna — szkoda, że Gustlik tu nie mamy... On mi prawił, że wąpi, czy będzie mió stromek!

— No, no... dyć się nie martw — pocieszył ją Waloższek i pogłaskał po głowie — dyć stromek jeszcze będzie, gdy Gustlik przyjdzie. To się synek też jeszcze nacieszy!

Potem Helenka pomagała matce w kuchni, a Emil z ojcem rabali drzewo w szopie.

Koło godziny czwartej jęło się ściemniać. Przydrożne lampy rozjarzyły się długimi rzędami lśniących perełek. Nad zabudowaniami hut i kopalni wybyskiwały po kolei kule mlecznego światła. Kołysały się z lekka nad dachami i syciły zadymione powietrze wspomnieniem słońca. Miały w sobie coś odświeżającego. Krzyk maszyn i dudnienie pary dochodziły stamtąd jakby przez puszystą ścianę.

Ponieważ Waloższek będzie musiał pójść na szczytę o godzinie ósmej, dlatego też śpieszono się z przygotowaniem wieczerzy.

Helenka i Emil byli już głodni. Spoglądali ukradkiem do kuchni, patrzyli łakomie na kopiatą miche, w której stygły kęsy smażonej ryby, polykali ślinę i jeden z drugim strzegli, jakby tu nieznaczenie czegoś smakowitego palcem udubnąć. Od rana przecież nie jedli. Matka mówiła, że trudno inaczej. W wigilię trzeba pościć, bo taki zwyczaj.

Widziała, że się kręcą po kuchni.

— Dziecka, to wam mówię, nie paskudzić, bo byście przez cały rok byli nie najedeni! — upominała ich.

Emil mruczał:

— Toć dziwny dzień!.. Czego się człowiek tknie, to wszystko ma na cały rok wróżyć.

Ale doczekali się.

Helenka zapaliła lampę w izbie i jąla rozkładać szeroki obrus na stole. Matka kończyła pracę w kuchni. Jeszcze trochę przysolić, tam znowu warząchwą pomieszać, cukrem posypać, talerze obeźrzeć, ułożyć i wszystko do izby przynieść, by już potem nie wychodzić do kuchni w czasie wieczerzy. Niedobrze to. Ludzie różnie powiadają. Mówią, że taki człowiek do roku umrze.

— Bodej to tam prawda — myślała matka — bo kiedy Pónbóczek będzie chciał, to człowieka do siebie zawiezie, ale niech już tak będzie!

Emil ustawił choinkę z boku i zapalił świece. W zielonej gwieździe drobnych gałązek mrugały coraz liczniejsze światła, ciepły blask siał się po izbie, rozgorzała cała choinka. Ślicz-

ne to było. Kiedy Helenka weszła do izby z talerzami, stanęła u progu zdumiona. Uśmiechnięty Emil patrzył raz na choinkę, raz na siostrę. W jej oczach widział drobne wizerunki choinki usiane drobnymi płomyczkami. Jakby się ta jej radość w żrenicach paliła.

Lecz nie długo miała czas podziwiać choinkowe cudo, bo już ją matka z kuchni wołała. Postawiła więc talerze na podorędziu obok stołu i pobiegła z powrotem.

Ojciec przyniósł sporą garść siana i rozstał na obrusie. W siano powtykał jabłka i orzechy. A na każdy róg stołu wysypał garsteczkę zboża; na jednym — pszenicy, na drugim — żyta, na trzecim — owsa, a na czwartym fasoł z grochem. Żeby się to wszystko w przyszłym roku darzyło, żeby też Bóg nasporzył swego daru.

Na ławie ustawiała matka potrawy. Według kolejności. A więc dużą miche kapusty, obok garniec z ziemniakami, potem spory dzbanek maślanki, po której pływały grudki masła, następnie grochową polewkę w bąłoku nakrytym szczelnie pokrywą, żeby nie wystygła, obok niej grzybową wodziankę również w glinianym garnku nakrytym, a potem już po kolei fasolę, jęczmionkę, żółtą kaszę, grysk i omaszczony szczodrą masłem, posypany tartem piernikiem i cukrem, kluski

z powidłami i mleko. Na samym końcu zóciła się miche ze smażoną rybą.

Po izbie jęły się teraz wodzić takie smakowite wonie, takie słodkości i wspominki dobrych rzeczy, że aż trudno było wytrzymać.

Stara kotka, Myszka, zwabiona zapachem ryb, laśla się koło nóg ludzkich, zadzierała ogon, bodła głową i dopraszała się kawałeczka. Chociażby na koniec języka, na smak przynajmniej!

— Dostaniesz, dostaniesz! — gładziła ją Helenka.

Zasiedli do stołu.

Poprzednio matka zgasiła jeszcze lampę w izbie i zapaliła świece w szklanym lichterzu, co się na środku stołu pysznił swym jęczmowym malowaniem. W izbie rozplynęła się ze światłem świec choinkowych nabożna cisza. Jakby w kościele. Matka skończyła ostatek pracy.

Wstali więc teraz wszyscy. Ojciec przeżegnał się i jął głośno odmawiać Ojcze nasz. Drudzy powtarzali za nim szepem. Myszka znowu, ocierając się bez przerwy o Helenyńskie nogi, mruczała głośno, radująca się niecierpliwie nieznanym smakołykiem.

W czasie modlitwy matka podniosła oczy w ciemne okno. Dojrzała na niebie gwiazdy.

— To dobrze! — pomyślała, nie przezywając szepetnego pacierza.

Skończyli. Waloższek przeżegnał się szerokim krzyżem, za nim matka i dzieci. Zachrobotały łyżki Emila i Helenki.

— Ja, mój Boże, a krowom dałeś, stary, siano? — zapytała zniecierpliwiona matka, przypominając sobie Srokulę i Jaloche, co w oborze swej willi czekały.

— Ale dałem da! — uspokoił ją Waloższek — nawybierałem najpiękniejszego siano, wiesz, z kwiatami!.. Niech się pojedzą krowczki!

— To dobrze!.. A patrz — i wskazała ręką na okno, przez które dojrzyć było można gwiazdy na niebie — kury będą jąka nioły, bo gwiazdki świecą!

— Yh!.. ale urodzajów tego roku nie będzie wielkich, bo nie widać miaszczka!.. — dodał Waloższek — No, ale zabierajmy się z Bogiem do wieczerzy!

Zanim jednak umaczano pierwsze łyżki w misie z kapustą, każdy jeszcze wsunął pod obrus jakiś pieniąż. Żeby się człowiek trzymał w ciągu następnego roku.

ROZPOCZĘTO jeść. Statecznie, powoli, jak się patrzy. Udać, że nie jest głodnym. Matka zaś nabrała na łyżkę kapusty,

drugą ziemniaków i włożyła w duży garnek, co na uboczu ławy czekał.

Dla tych krowczek naszych trzeba odłożyć... żeby też one miały święto willa!

— Och, Boże, tyle!.. — zauważył Emil, pojadający już pełnymi ustami kapustę z syrkami ziemniakami — to one się tam wiele nie najedzą!

— Z każdego jada kapka dostaną — pouczyła matka.

I jedli. Smakowało widać wszystkim, choć to tylko była sama kapusta z niemaszczonymi ziemniakami. Przemyślny Emil, chociaż go darło, by jeszcze i jeszcze nabrać kopiatą łyżkę, sięgał pomaleńku w miche, i zaledwo na koniuszek łyżki nabierał. A czekał tylko, skoro ojciec skończy. Boć tam przecież jeszcze tyle innych dobrych rzeczy!

W pewnej chwili tracił nogą Helenkę. Spojrzała na niego zdziwiona. Emil rozpostarł nieznacznie palce, zatrzepotał nimi i mrugnął na zastawioną ławę. Dziewczyna domyśliła się, że ją ostrzeżę, by skąpiła sobie kapusty, boć tam jeszcze czekają inne zancosci.

Potem przyszła kolej na maślankę. I tu się zbytnio Emil nie kwapił. Daleko jeszcze bowiem do klusek z powidłami i do wysmażonych ryb. Kiedy ojciec łyżkę z maślanki oblizał i na stół położył, matka podała grochową polewkę. Po niej przyszły na stół następne potrawy. Według porządku jak je była na ławie ustawiała. A z każdej ubierała przed jedzeniem pełną łyżkę i odkładała do tamtego garnka na ławie, co to dla Srokuli i Jaloży przeznaczone było.

Cisza była w izbie. Myszka próbowała podobnego jedzenia, co jej Helenka na miseczkę nakładła, polizywała, oglądała się raz wraz na jedzących, lecz zbytnio się nie kwapiła ani do kapusty, ani do maślanki, ani do niczego. Ryby jej nie dawały spokoju. Wspiwała się na krawędź ławy i pociągała noskiem wonne powietrze, ruszając śmiesznie długimi wąsikami.

— A, psiki!.. a, psiki!.. — spędzała ją matka, lękając się, by nie uległa pokusie.

Wtedy kotka kryła się pod stół i znowu zaczynała ocierać się o Helenyńskie nogi. A gdy Helenka schyliła się i ręką usiłowała pogłaskać, pomrukiwała z cicha.

CISZA była w izbie. Przez czarne okna sęcały się daleki gwar maszyn, a zegar ścienny mierzył przechodzący czas w suchym czekaniu. Czasem czyjaś łyżka zadzwoniła z lekka, czasem ktoś westchnął głośniejszy i nic więcej.

Emila nużyła owa uroczystość w jedzeniu. Siedzieć trzeba, jak na kazaniu, mówić wiele nie wolno, bo w tej chwili skarci go wzrok ojca, cisza jakaś wokół jak przy trumnie, do miski musi sięgać powoli, kończyć — gdy ojciec kończy, a tu by się bardzo chciało jeszcze posmakować tych słodkich, ciepłych powideł, co się na dnie miski uzbierały, tak chętnie by jeszcze ułamał kęs strucli z rodzynkami i zapil garnuszkem mleka!.. A nie można, bo ojciec już patrzy, czy wszyscy za nim łyżki położyli.

Ale jeszcze ryby zostały!.. Jak to dobrze, że znajdzie jeszcze na nie drobinkę miejsca w żołądku!.. Jak to dobrze!.. Tu sobie nareszcie użyje dobrot.

Uśmiechał się do nich i zerkał łakomie. Nęciły go zapachem i złocistym kolorem.

A kiedy już i ryb sobie niezgorzej pojedli, ojciec wstał, wziął ze stołu opiatek i jął się dzielić ze wszystkimi.

— Żeby się wam w życiu dobrze wiodło!.. żeby się wam w życiu dobrze wiodło!.. — mówił uroczysto, podając każdemu z osobna.

— A wam też, tatulku!..

— odpowiedziały dzieci — a wam też, mamulko!.. i jęły się swoim ułankiem dzielić z ojcem i matką.

— Dej Boże, dej!.. — powiedziała matka i pogłaskała Helenkę i Emila.

Umaczali w miodzie i jedli. Dobrze było.

DR BOGDAN ZAKRZEŃSKI

Problemy socjalne w polskich pastorałkach

W otoczonej mowie zwykło się utożsamiać koledy z pastorałkami, nie zdając sobie sprawy, że pastorałki stanowią jedną grupę bogatą i posiadającą odległą tradycję twórczości kołedowej.

Stanisław Dobrzycki w swym doskonałym i popularnym szkicu „O koledach” rozróżnia w obrębie tej twórczości trzy zasadnicze grupy: koledy w ścisłym ze sobą związku, mające wspólną zasadniczą podstawę i wiele wspólnych elementów, ale w analizie dające się podzielić: Koledę apokryficzną (to znaczy opartą na motywach ewangelicznych, rozszerzonych, przekształconych i wzbogaconych wyobraźnią i fantazją twórcy), z przewagą elementów fantastyczno-cudownych, koledę pasterską, z przewagą elementów charakterystycznych i życiowych, i koledę w najściślejszym znaczeniu słowa, nabożną, pieśń na Boże Narodzenie.

Koleda pasterska — pastorałka posiadająca najwięcej elementów świeckich, obcych pieśni nabożnej, została przeznaczona przez „cenzorów ksiąg duchownych” wyłącznie do użytku domowego. Z koledą właściwą, nabożną, śpiewaną w kościele czy w domu, pastorałka ma częstokroć wspólny temat. Ale — jak pisze K. Stromenger — podczas gdy koleda jest pieśnią, pastorałka jest dramatem, misterium ludowym, żywą „szopką”. Przez długie wieki trwały i narastały tradycjami te widowiska półkościelne, a półlaickie, grane przez żaków czy przez „clerici vagantes”, przez bractwa kościelne i bractwa aktorskie, przez mieszczań i lud wiejski. Takie zacienienie pojęcia pastorałki do dramatu lub jego szczątkowej formy jest jednak właściwe jedynie w odniesieniu do genezy koled pasterskich, wywodzących się z misterium jasełkowych i intermediiów.

Julian Krzyżanowski zalicza pastorałki do koled wprowadzających na większą skalę obrazki z życia pasterskiego, i to obrazki przedstawione tonem lekkim, konwersacyjnym.

Pastorałki powstałe częstokroć na marginesie twórczości regionalnej, zachowały się nie tylko w najobszerniejszym zbiorze ks. Mioduszeńskiego (Pastorałki i koledy z melodiami czyli piosenki narodowe ludu w czasie świąt Bożego Wrodeńia, po dcmach świąt, Kraków 1843, wraz z dodatkiem z roku 1853, Lipsk), czy w „Symfoniach anielskich” — pierwszym u nas zbiorze, ale żyją po dziś dzień na wsiach i miastach.

steczach, improwizowane przez koledników, którzy chodzą z szopką lub gwiazdą od domu do domu.

Klasycznym przykładem polskiej pastorałki zrekonstruowanej z dawnych tekstów i różnych fragmentów jest pięknie archaizowana „Pastorałka” Leona Schillera, którą niesłusznie przeznaczono do wyłączenia na widowisko dziecięce.

Pastorałki mogą więc posiadać wyrażną formę udratyzowania, z zaznaczeniem scenerii, jej różnych akcesoriów, z wyszczególnieniem występujących osób, lecz mogą także nie posiadać wyraźnych form dramatycznych w sensie gotowej inscenizacji.

Autorami pastorałek w XVII wieku byli przeważnie rozmaici kantorowie, niżsi nauczyciele, rybałci wędrowni, a więc ci, którzy należeli do grupy socjalnej wyodrębnionej ze świata szlacheckiego, podobnie jak później „ludowi” twórcy koled. To pochodzenie socjalne odbiło się bezspornie na charakterze pastorałek. Zaważyło na ich tonie ludowym, na folklorze, prostocie, naiwności, rubasznosci, humorze często trywialnym itp. elementach, oraz na problematyce społecznej.

Komentowanie celu narodzin Dzieciątka, stwarzało wiele możliwości do podkreślenia Krzywd wynikłych z niesprawiedliwości podziału dóbr materialnych, oraz podziału klasowego. W pastorałkach niejednokrotnie podkreślano, że Boża Dziecina pierwsza pastierzom ogłasza swe przybycie na świat:

Dlatego pastuszkom wam ubogim służkom, Najprzód się ogłasza, do siebie zaprasza,

Ten pasterz prawdziwy, wam wszystkim życzliwy.

Dzieciatko pragnie przed bogatym odebrać od nich hołd i nieść im pociechę. Ubóstwo stajenki kojarzy się na każdym prawie miejscu z ubóstwem pasterskim:

Na bogactwa nic nie godziśz, W podłej stajence się rodziśz...

Radością się cieszyć stała, Albowiem nra to spoiła: Przywitaj go przed Panami, Radość jego jest być z nami Tu ubogimi.

W innej jednak pastorałce zmieniającej kolejność hołdów oddanych Dzieciatku (wbrew Ewangelii), srogi starzec (św. Józef) zabrania wejść do szopy pastierzom:

Są tam teraz królowie, ode wschodu miedrowie,

Dzieciatku dary dają...

Pasterze jednak odpowiadają rezolutnie:

I nam też jego potrzeba,

Gdyż przyszedł dla wszystkich z nieba. Przybycie królów jest zwykle motywem podkreślającym różnicę społeczne — międzyklasowe. Królowie mają tu oczywiście wybitne cechy buńczuczności sarmackiej.

Wara chłopcy od tej szopy, Biercie wprzód do swej trzody, Bo królowie dary wiozą na ofiary.

A w innej pastorałce:

Ho!a! chłopcy! dalej z tej szopy: Przyjechali Królowie, wara, wara brat-kowie,

Umknijcie się panicom, niechaj skarby wyliczą...

Idźcie i ty Wachu, byś nie nabrał przystrachu,

Niech zaden z nas nie wadzi, bo każę bić celadzi.

W pastorałkach podkreśla się, że Dzieciatko nie chce przyjmować darów takich, jakie chłop pańszczyźniany musiał składać panu:

Wsakże kiedy idziem do nasego państwa, Wszakże kiedy idziem do nasego państwa,

Niesiem podarunki na dowód poddaństwa...

Więc wy gospodarze biegajcie do domu, Przygotujcie dary jakie Bóg da komu: Toć mi się podoba ubóstwo podściwe, Nad zbiory, bogactwa a niesprawiedliwość...

Pasterze wierzą, że Dzieciatko zstąpiło na świat dla wszystkich: biednych i bogatych; wierzą, że ich dary choćby najbiedniejsze, sprawiają większą radość niż złoto; że ich weselość nieraz hałaśliwa oraz ich muzyka i tańce, waleją bawia Bożą Dziecinę, niż adoracja królów, bicia w kotły i „szlachetkie” strzelanie z armat. Rodzina światła reprezentuje zwykle ich światopogląd ich sposób myślenia, radowania się, a czuje się obca i onieśmielona w stosunku do trzech mędrców. Mały Jezus na każdym miejscu daje oznaki zadowolenia i poufale bawi się wraz z pasterskimi:

Graj mój Jezus, Bartku swoje, Stój dziecię tylko

Bas wystroje...

Jak zarżnię w swoje szalamaje, Jak Jezus paluszkami łaje...

W pastorałkach o gotowej formie dramatycznej, sam fakt powitania i złożenia darów Dzieciatku, bywa często epizodem ubocznym, nieusprawiedliwiającym innych wypowiedzi pasterskich. Jeden z takich utworów góralskich, z którym kolednicy obchodzili okolice Krakowa, zawiera obszerną dygresję charakteryzującą w sposób satyryczny dwa obozy poważnionych pasterskich: stugusów i przeciwników szlachty. Kuba, zwolennik szlachty, tak ją broni:

Dobra sroka na chłopca, dobra nawet wrona,

A Panu dać należy gęś albo kapłona, Bo chłop chociaż kapustą bżusysko natłoczy,

Napiwszy się i wody, zdrów sobie podskoczy.

Maścibrzuch zaś w ten sposób opisuje swoją służbę we dworze:

Ej Panci to był dobry, zdrójca Podstarość,

Ten mi nieraz, ba często porachował kości.

Gdy raz do mościwego posed skarżył Pana,

Cęstował mnie za to jak złego hamana.

I jak mnie zaczął techtać po bokach a sceze,

Tom oblema końcami grał jakby na lize.

Dosłużyłem się wreście nienajgożej potem.

Aze skóra drzy na mnie gdy se wspomnia o tem.

Bom wzięt był na sukmanę bitych bar-dzo wiele,

Iż mam dotąd floresy po mem gzesnem cieie.

Pastorałki polskie, krążące niejednokrotnie w ustnej tradycji i powstające na nowo w okresie świąt Bożego Narodzenia, zasługują ze wszelkimi na sumienną rejestrację, która by uchroniła je od całkowitego zapomnienia.

niedosigniona
skoncentrowana
WODA
KOLONSKA



Woda Kolonska
ROZDZIAŁ 10000

CENTRALA SKÓR SUROWYCH
ODDZIAŁ WOJEWÓDZKI
POZNAŃ
UL. GARBARY 56

KUPUJE SKÓRKI

OWIEC, KÓŻ, ŚWIN, DZIKÓW,
SARN, ZAJĘCY, KRÓLIKÓW,
LISÓW, KUN, WYDER, TCHÓRZY,
WSZYSTKIE INNE SKÓRKI FUTERKOWE.

CENY RYNKOWE
PUNKT SKUPU PRZY KAŻDEJ RZEŹNI

12b-244

Tym, którzy pełnią obowiązek

Już wybiły zegary jedyną nastrojem godzinę, miasto ogarnął wieczór mrocznym cieniem. Ale po chwili, jakby płomieniem dalekiego nieosiągalnego marzenia, wśród bezkresnej przestrzeni rozbił się radością oczekiwania — pierwsza gwiazda.

Rzeźbione trudem pracy, robotnicze dłonie zatrzymały maszyny. Opustoszały hale fabryczne, warsztaty, na kilka godzin przerwały bojową pieśń zwycięstwa młoty parowe, frezarki, szlifierki, motory. Cichną ruchliwe do niedawna ulice i tylko coraz liczniejsze jarzą się światłami okna, coraz jaśniej w domach od parteru po najwyższe piętra, w mieszkaniach, izdebkach... wszędzie, gdzie tylko biją ludzkie serca spragnione tych świąt pokoju.

Uwolnieni od trosk dnia ludzie gromadzą się przy wigilijnym stole, łamią chleb tej wieczery, składają wzajemne życzenia, a myślą wybiegają ku horyzontom powszechnego dobra i piękna, sprawiedliwości i ludzkości, które przyjdą na pewno, bo zapowiedź ich niesie wielka idea społecznego ładu, idea zwycięstwa nad krzywdą, bezprawiem i wszelkim uciskiem. W wyzwolonych w

ją dyżurni w komisariatach, gotowa na każde wezwanie rezerwa, czuwa obsługa telefonów. Wymaga tego dobro kraju, interes społeczny.

W kręgu lampy ulicznej błdzi cień patrolującego milicjanta. W zaułkach

sterunek zawsze musi być gotowy, zawsze czujny na każde wezwanie.

To tylko dwa szkice wyjęte z ram codziennego trudu, co stał się udziałem ludzi pracy. Niez podobnych — wy-

nicy, bładzcy z lampkami po zakamarkach kopalni, by wykryć czające się w mrocznych podziemiach niebezpieczeństwo, pomnożą dalej żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza strzegący narodo-

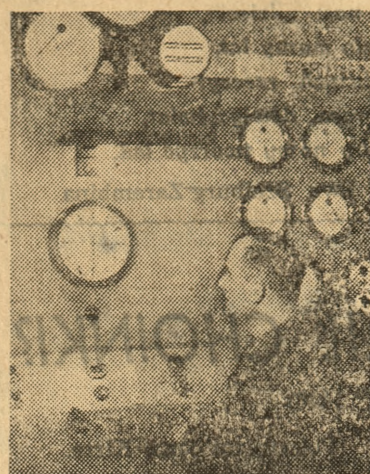
mozołu, wizja pięknego, szczęśliwszego jutra.

Po raz pierwszy to bodaj możemy nie opierać życzeń na kruchych domkach nadziei, lecz na mocnym fundamencie faktów. Po raz pierwszy możemy sobie szczerze i z przekonaniem w słusność wypowiedzianych słów powiedzieć: Będzie lepiej! Po raz pierwszy wreszcie możemy zagłębić się w marzenia, które nie tylko wspomnieniami zostaną.

Dla ludzi nieugiętej woli dla sprawy, dla twórców odnowicielskiej budowy, budzi się świat szczęśliwszej przyszłości. Pokój więc Wam ludzie dobrej woli! Pokój dla Waszej pracy i trudu, pokój Wam, którzy dzisiejszego wieczoru trwacie przy warsztatach. Ślemy Wam tę serdeczną myśl. I niech ona pozwoli Wam wgrzać się w zwykłe sprawy dnia i da pewność, że nie jesteście osamotnieni.



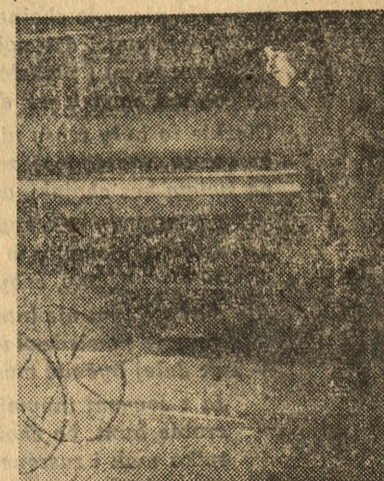
Załoga Straży Pożarnej Śródmieścia gotowa jest do wyjazdu na każde wezwanie. Czuwają w wieczór wigilijny załogi wszystkich oddziałów w mieście, aby, gdy zajdzie potrzeba stanąć do walki z groźnym żywiołem.



We wszystkich domach w dzisiejszy wieczór jest jasno i pogodnie. Światłem płoną szyby mieszkań, kolorowe żarówki choinek na placach, witriny okien wystawowych. Zawdzięczamy to pracownikom Elektrowni, którzy czuwają w noc wigilijną. Rozdzielczy — Stanisław Madaliński (na zdjęciu) dzisiaj po raz ósmy spędzi wilię poza domem kontrolując w Elektrowni działanie zegarów.

wego skarbu — granic nad Odrą i Nysą, marynarze floty wojennej pełniący straż na bursztynowym Bałtyku, lotnicy, żołnierze armii lądowej.

Wszędzie, gdzie trwa wielki wysiłek odbudowy kraju, gdzie znojnym trudem wznosimy fundamenty dobrobytu, szczęścia, pokoju, tam znajdują się żołnierze obowiązku. Ku nim więc niechaj zwróci się nasza myśl w wieczór wigilijny, niech towarzyszą im nasze serdeczne wspomnienia, życzenia pokoju dla ludzi dobrej woli. Niech w wieczór wigilijny połączy nas z nimi pamięć wspólnego



16 o 6b liczy drużyna gazomistrza Antoniego Wojtyńskiego która dzisiaj solidarnie wypełni obowiązek pracy. Palacz piecowy Alojzy Broński (na zdjęciu) napracuje się dzisiaj rzetelnie obsługując jeden z pieców.



Milicja jest zawsze na posterunku. W wigilijny wieczór, kiedy na ulicach miasta spotkamy białą patrol przelotny mu uśmiech i pozdrowienia. Milicja to straż naszego życia i mienia.

tym dniu uczuciach silnych a tklivych stapia się gorzyc trudu naszego pokolenia, szeroko chłoniemy oddech nowych czasów, porwya nas polot wzruszeń, budzi się entuzjazm dla wielkich dokonań.

A jednak w ten uroczysty wieczór nie wszyscy znajdują się wśród najbliższych. Twarde są prawa życia i walki. Są ludzie, których zawód czy służba społeczna powołały do warsztatu pracy. Pełniąc obowiązek na licznych posterunkach czy zastępując nas, składają wszystkim najpiękniejszy dar. To im właśnie zawdzięczamy spokój, radość i szczęście dzisiejszego wieczoru. I dlatego nie wolno nam o nich zapomnieć.

Ulica. Niekiedy tylko usłyszysz szybkie kroki późnionego przechoźnia, lub daleki warkot motoru. I znów długa, aż denerwująca bezruchem cisza.

W słabym rozbiłysku latarni ukazał się cień. Wyprzedził go odgłos minionych kroków. Twardo uderzają o bruk podkute buty, sprężysty krok rozlega się zwielokrotnionym echem. Niekiedy stałą błyśnie broń. Patrol milicji.

Tak. Milicjant czuwa. Zło może zataić się i w noc wigilijną. Pilnie strzeże więc powierzzonego mu odcinka, gotów poprosić na każde wezwanie, stawia czoło niebezpieczeństwu w obronie ładu społecznego, życia czy mienia człowieka.

A okna wabią spojrzenie widokiem barwnie przybranych choinek, niekiedy dobiega gwar wesołych głosów, popłynię refren koledy. Milicjant patrzy i słucha. I on ma rodzinę, dom, młodą zo-



Zycie nie zna przerw i toczy się niepowstrzymaną falą. W sali operacyjnej chirurg ratuje zdrowie człowieka. Z idealną precyzją pracuje lancetem powstrzymując pochód śmierci. W salach szpitalnych niosą ofiarę pomoc chorym — siostry pielęgniarki. Czuwa Pogotowie Ratunkowe. Na zdjęciu załoga karetki, pełniąca dzisiaj dyżur: sanitariusz Mikołaj Gnasasik (po lewej) i kierownik Mieczysław Tokarski

ne, dzieci... Ale nie wolno mu zagłębiać się teraz we własne wspomnienia. Służba wymaga czujności i nieustannej uwagi. Przecież podobnie jak on, trwa-

ulicznych już nie rozróżnisz jego postaci od mroku nocy. To czuwa żołnierz służby bezpieczeństwa.

Hallo! Czy 18-88?
— Tak, tu Straż Pożarna.

Telefonista zamienia się cały w słuch, wylapując pospieszne, urywkowe informacje. Już działa sprawnie mechanizm obrony przed pożarem. Alarm!

Błyszczą miedziane helmy drużyny gotowej błyskawicznie do drogi, przebieżliwie kołacza dzwonek. Szaleńcza jazda ulicami miasta. Pali się! Prędejj — wystukuje motor samochodu dysząc wysiłkiem. Już dopadli. Zdusić, obezwładnić wściekłą, niszczącą siłę ognia! Pompy gotowe! Gwizdek — Woda naprzód!

Czuwa Straż Pożarna w noc wigilijną. Dziś właśnie łatwiej niż kiedykolwiek, drobna nieostrożność może się stać przyczyną wypadku. A może nie będzie alarmującego dzwonka? Cóż z tego. Po



Nie ma przerw w służbie telekomunikacyjnej. Powietrznym szlakiem płyną obok depezy z życzeniami świątecznymi, ważne meldunki. Przyjmuje je dzisiaj niestrudzenie Salomea Stillerówna — pracownica działu telegrafów.

pełnionych treścią obowiązku mogliby nam dać dzisiejszy wieczór?



„Szczęśliwej podróży” — składa życzenia maszyniście Steinowi i palaczowi Woźniakowi z Gdańska, dyżurny ruchu poznańskiej stacji kolejowej — Stefan Ładniak (u dołu). Godzina 19.50! Rusza parowóz na daleki szlak. W ręce jego załogi powierzyli swe bezpieczeństwo pasażerowie pociągu.

Czuwają milicjanci, strażacy, kolejarze, pracownicy hut — wielkich pieców i martenów, telefonistki, obsługa Pogotowia, lekarze i siostry w szpitalach, załogi Gazowni i Elektrowni, spikerzy Radia. Ludzie, którym przypadł w udziale zaszczytny obowiązek trwania na posterunku w służbie kraju i społeczeństwa — ludzie robotniczej klasy. Całą ich armię znajdziemy dzisiaj na posterunkach jak Polska długa i szeroka. Pomnoży jej szeregi przodująca warstwa pracownicza socjalizmu — gór-

Jak tokarz Szablewski został dyrektorem

Historia Walentego Szablewskiego jest historią wychowanego w rodzinie robotniczej chłopca, którego największym pragnieniem było wybiecie się, zdobycie awansu społecznego. Nie chodziło mu o karierę, czy pieniądze. Mały Walek, a potem pan Walenty wiedział, że potrafi zająć kierownicze stanowisko, że potrafi pracować z pożytkiem dla swej klasy i kraju. Dużo jednak czasu upłynęło nim młodzieńcze pragnienia małego chłopca obróciły się w czyn.

Jego rodzice przenieśli się, gdy miał lat 7 do Poznania. Walek rozpoczął naukę, 5 starszych braci młodego Waleka pracowało w przemyśle metalowym. W wieczornych dyskusjach, jakie prowadzili starsi na temat pracy i zawodu, brał również udział mały Walek — w roli słuchacza. Przysłuchując się rozmowie braci, mały poczuł jakiegoś bliżej nieokreślonego pragnienia zgłębienia ich zawodu. Jednak od powzięcia zamiaru do jego realizacji pozostała jeszcze długa i ciężka droga. O tym miał się przekonać mały Walek. Tymczasem uczył się i to bardzo dobrze. Z ciebie będą kiedyś ludzie — mawiał nauczyciel rachunków p. Uszko. Często, kiedy już w całej klasie nikt nie potrafił wyliczyć zadania, wówczas padło z katedry:

„Walek, wylicz no tym gamoniom!”

I Walek wyliczył. Po 7 latach jako 14-letni prymus opuścił mury szkolne. Walekowi uśmiechał się mundur gimnazjalny, książki i studia. Inżynierem będzie — mawiał — i będę prowadził dużą fabrykę, w której wszyscy będą mieli dobrze. Trudności nie pozwoliły jednak na zaspokojenie jego pragnień. Stało się na tym, że pewnego poranka Walek po raz pierwszy przestąpił prógi Cegielskiego.

Rozpoczął naukę tokarstwa, uczęszczając równocześnie do Szkoły Zawodowej. Pilnością i zdolnościami zwrócił na siebie uwagę wykładowców. Również i tę szkołę ukończył jako prymus. Rozpoczął pracę tokarza w narzędziowni. Zdawało by się, że cel został osiągnięty, że wreszcie stał się pełnowartościowym metalowcem tak, jak jego bracia. Walek pragnie jednak dostać się do kalkulacji —

piąć się wyżej.

Ale tutaj napotyka na trudności nie do przewyżczenia. Na objęcie tego stanowiska potrzebne jest wykształcenie co najmniej stopień technika. Na nic zdawały się wszelkie kombinacje. „Głową muru nie przebijesz” — pocieszał go serdeczny kolega Tadek. — Czekaj, przyjdzie czas, to i i my dostaniemy się jeszcze na stanowiska, które nam się należą. I Walek czekał. Czekał cierpliwie aż wybuchła wojna w 1939 roku.

Zmuszony wrócił do pracy. Nie szła ona mu jednak jakoś i nie dawała pełnego zadowolenia, gdyż pracował dla Niemców podjął więc z nimi walkę na odcinku swej pracy — sabotował zarządzania okupanta. A że pracował wówczas na tzw. zataczarce, na której Niemcy — niefachowcy się nie znali, więc robił co chciał. Aż w roku 1941

„sypnął”. Walenty Szablewski został aresztowany i osadzony w Forcie VII a stąd otransportowany do Wronki. Po 18-miesięcznym pobycie w więzieniu z braku dowodów zwolniony, wrócił do miejsca pracy. Nadszedł wrzecie rok 1945 a z nim klęska Niemiec.

Skoro tylko Wilidę uwolniono od najeżdźcy jako

jeden z pierwszych stanął przy warsztacie.

Razem z grupą 40 kolegów przystąpił do pracy nad odbudową fabryki. Dla paru zapalcieńców nie było godzin rozpoczęcia pracy, a ryk syreny nie obwieszczał jej końca. Odgruzowywano, ustawiano maszyny, które okupant nie zdążył wywieźć, kombinowano, potrajanio wysiłki. A wszystko to robiono początkowo dosłownie za kromkę chleba. Myśl, kiedy znowu zadymią kominy fabryczne, osładzała przykrość.

Oprócz pracy zawodowej Szablewski zaciął się w wir pracy społecznej i politycznej. Już w roku 1945 wstępuje do PPR, a w parę tygodni później sam organizuje pierwsze na Wilidzie Koło Z. W. M. Równocześnie zostaje wybrany do Rady Zakładowej. W powodzi pracy nie zapominał on o samokształceniu. W tym czasie zdaje egzamin mistrzowski, a wkrótce potem zapisuje się na kurs instruktorów przemysłu metalowego, organizowanego przez Min. Przemysłu i Handlu.

Nie zapomina o dalszym kształceniu się, wstępuje do Państwowego Technicum w Bytomiu, które kończy z wynikiem b. dobrym, a po tym wraca do fabryki „Cegielskiego”, bez której — jak

zwierza się kolegom — było mu bardzo smutno. Obejmuje stanowisko asystenta w fabryce wagonów, a po jej rozbudowie, kierownika obróbki mechanicznej. Na ten okres czasu przypada najbardziej wzmożone tempo pracy społecznej i zawodowej.

Szablewski był wszędzie

i od żadnej pracy się nie uchylał. Jego troską było współzawodnictwo pracy. Jako przewodniczący głównego Komitetu Współzawodnictwa Pracy inicjuje współzawodnictwo między poszczególnymi fabrykami. Na stanowisku kierowniczym nie zapominał o swym pochodzeniu i trosce o towarzyszy — robotników. Dbał o nich a o ich sprawy troszczył się bardziej niż o swoje własne. Nic więc dziwnego, że robotnicy „Cegielskiego” bardzo go polubili.

W tym czasie zwolniło się stanowisko wicedyrektora technicznego Zakładów. Trzeba było następcy i to takiego, który by zarówno dbał o rozwój produkcji jak i o pracowników.

Wybór nie był trudny

Został nim Walenty Szablewski, człowiek, który od lat pracował u Cegielskiego, przeszedł wszystkie rodzaje pracy, najlepiej znał pracowników.

Na kierowniczym posterunku stanął człowiek, który pokochał fabrykę, w której zdobył wykształcenie, zawód i możliwość zrealizowania celu. Celu jednego: pracować dla kraju i dla towarzysza-robotnika.

H. Kamza



Jeszcze wszyscy mówią o nas: „dzieci“,
jesteśmy bowiem mali i mało mamy lat,
ale już rozumiemy wiele dużych rzeczy:
że życie bywa ciężkie, że praca dźwiga świat,
a my — rośniemy na to, by nowy tworzyć ład.

Ewa Szelburg-Zarembina

K. I. GAŁCZYŃSKI

KTO WYMYŚLIŁ CHOINKI?

(Copyright: „API“ 1948)

Poświęcam córce Kirze.

Moje kochane dzieci,
był taki czas na świecie,
że wcale nie było choinek,
ani jednej i dzieciół wyrwał sobie piórka
z rozpacz i płakała wiewiórka,
co ma ogonek jak dymiący kominek.

Ciężkie to były czasy niepospolicie,
bo cóż to, proszę was, za życie
na święta bez choinki, czyste kpinki!

Więc, kiedy nadchodziły święta,
dzieci w domu, a w lesie hałasowały zwierzęta:
— My chcemy, żeby natychmiast były choinki!

Ale nikt się tym nie interesował,
aż wreszcie powiedziała mądra sowa:
— Tak dalej być nie może, obywatelo.

Ja z sowami innymi trzema
zrobię bunt, bo choinek jak nie ma tak nie ma,
tylko mak i suszone morele.

I rzeczywiście: gdy przychodziła Gwiazdka,
nic nigdzie nie tonało w blaskach,
był to widok nader niemily;

i nikt nie myślał o zielonej świeczce
i ciemno było, proszę was, jak w becze,
przez to, że się nigdzie choinki nie świeciły.

Ale w chatce na nóżkach sowych
mieszkał pewien tajemniczy człowiek,
który miał złote książki i zielone pióro
i jak nie krzyknie ten dobry

człowiek
— Poczekajcie chwilę, ja zaraz
zrobię,

że nigdzie nie będzie ponuro!
No i popatrzcie: od jednego słowa
świerki strzelają, gdzie była dąbrowa,
choinki nareszcie będą.

Bo ma poeta słowa tajemnicze,
którymi może spełnić każde z życzeń.
(A ten człowiek był właśnie poetą):

To on nauczył, jak się świeczki toczy,
jak się z guzików robi skrzatom oczy,
on, namówiony przeze mnie;

i jak się robi z papieru malutkie
okręty

i to on ułożył te wszystkie koledy,
które śpiewać jest tak przyjemnie.

To on, moi srebrni, moi złoci,
zawsze jest pełen dobroci,

w nim jest ta pogoda i nadzieja;

to on nauczył, jak zawieszać zimne ognie

i on te świeczki odbija w oknie,

że okno jest jak okulary czarodzieja.

Więc już teraz, chłopcy i dziewczynki,

czy wiecie, kto wymyślił choinki?

czy już teraz każde wie to?

Chórem dzieci: TO TEN ODWAŻNY, DOBRY
CZŁOWIEK,
CO MIESZKA W CHATCE NA NÓŻKACH
SOWICH,

CO GO LUDZIE PRZEZYWAJĄ POETA.

Wiem, gdy śnieg na święta zatańczy,
pomyśl, proszę, najukochańszy,
o tym panu, co układa rymy,

prześlij mu życzenia na listku
konwalii,

a myśmy już mu telegram wysłali,
bo my wszyscy bardzo go lubimy.

Najradośniejsza Gwiazdka

Nogi zapadają w śnieg po kostki.
Ani państwo Sibilsy, ani ich
dzieci nie odczuwają jednak, że marsz
jest trudny i powolny. Są w Polsce! Są
w Szczecinie! Tu — gdzie zamieszkuje
na stałe po długich latach tułaczki po
południowej Francji. Wyemigrowali z
Polski jeszcze przed kilkunastu laty.
Wówczas, gdy nie było w naszym kraju

stając na chwilę. — Każda gwiazdka
śniegu inny ma kształt. Ta wygląda jak-
by posklejane małe pióreczka
białe. A tamta — niby kwiat z ogrodu
o płatkach długich i wąskich. Ten kry-
ształek — jak cienka płytka lodu. A
tamten — jak kłosek wiatka.
Syją się gwiazdeczki białe, a
matka mówi dalej:

radośnie. A może się im to tylko wy-
daje?

— O nie! Przecież to dzisiaj Gwiazd-
ka! — tłumaczy pani delegatka Ko-
misi, która ich przyjęła i zaopieko-
wała się nimi w Szczecinie

— Święta Bożego Narodzenia!

We Francji — oznaczało to przede
wszystkim duży wieniec z jemioli. Ka-
dy podarek też przybrany był tam jej
gałązką i czerwoną kokardą.

— Rosochate zielone gałązki je-
moli, osypane ciemnymi jagódkami,
zdobiły w czasie świąt wszystkie poc-
złoty z życzeniami — przypominał gło-
sno Marcel.

— A tu spójrz, jaki piękny gwiaz-
dor! — pokazuje ojciec rzeszkie os-
wiecone okno wystawowe, pełne zaba-
wek.

Przestają dzieci i zadławione przy-
glądają się wysokiemu gwiazdorowi z
czerwoną czapką, obszytą białym fu-
trem, w długim płaszczu i w czerwo-
nych butach. Z pomarszczonej twarzy
spływa gwiazdorowi długa siwa broda
aż do pasa.

Dzieci oglądają „polskiego” uśmiech-
niętego gwiazdora — a ich rodzice
cicho porozumiewają się między sobą.
Zapomnieli, że dziś Gwiazdka! Trochę
smutno będzie im wszystkim na no-
wym miejscu. Szczególnie dzieciom,
gdy po drodze napatrzą się, jak wszy-
stkim jest dziś wesoło, jak jasno za ok-
nami domów jarzą się świeczki — i gdy
posłyszają z dala radosne dźwięki koled.

*

— Dokąd idziemy? Czy daleko je-
szcze? — pada pytanie.

— Nie — odpowiada z uśmiechem
pani. — Teraz skręcamy... I już jeste-
my na miejscu!

Cóż to? Bała ze snu? Na tle ja-
kichś wysokich kominów jakby mały
wycinek lasu. To ogród, a w nim mały
biały domek.

Śnieg jest stalowo-srebrny, migoczą
nim blaski i cienie kołyszące się przed
gankiem domu latarni. Zwisają cięż-
kie gałęzie świerków o grubych, jakby
ociosanych zarysach. Czuje się ich cięż-
ar — a wystarczyło, że ktoś z dzieci
podbilo gałęzie dłońmi, aby strzeliły w
górze, rozsiewając chmure drżącego
pyłu — złotego odbłasku latarni.

Jak urzeczeni, stąpają państwo Si-
bilsy i ich dzieci po stopniach scho-
dów. Dźwięk klucza obracanego w



pracy i chleba dla wszystkich. Przy-
muszeni nędzą, opuścili Ojczyznę, aby
oboje pracować w fabrykach francu-
skich. Tam już pozostali przez lata i
dzieci ich urodzili się na ziemi fran-
cuskiej.

Śnieg... Miękki, biały, puszysty i
skracający się w świetle lamp jak brylan-
ty. I Anetka i Zosia i najstarszy Marcel
widzą go po raz pierwszy. W milcze-
niu — zachwyceni wodzą wokoło
oczym.

— Popatrzcie — mówi matka, przy-

— Spójrzcie, ten płatek śniegu —
jak długie żdźbła trawy, gdy je paję-
czyzna powikła...

Sluchają dzieci i patrzą — nie tylko
na kryształki śniegu, ale i na łąki, co
kapią mamie z oczu. To z radością i ze
wzruszenia...

*

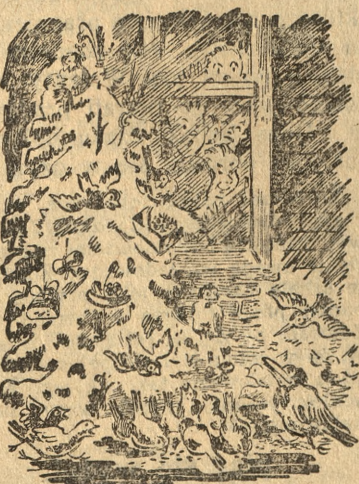
Idą państwo Sibilsy ulicami Szczeci-
na i dziwi ich ruch na ulicach, i pię-
knie, bogato oświetlone okna wystaw.
Wszędzie tak jakoś świątecznie, tak

Wigilia w świetlicy

Tego jeszcze, jak Sędziny. Sędzina-
mi nie było.

Samorząd uczniowski kl. VI zorgani-
zował i przygotował wszystko skład-
nie. Świetlica była pięknie przybrana
gałązkami choiny. Na stołach, schud-
nie obitych białym papierem, też roz-
rzucono dziewczęta tu i ówdzie między
talerze z piernikami gałązki choiny —
więc było naprawdę „świątecznie”.

„Wigilia” świetlicowa odbyła się
wcześnie po południu, żeby wszyscy
zdążyli do domu na tradycyjną wie-
czerzę.



Wiązanka polskich koled, nadawana
przez radio, szybko wytworzyła nastrój.
Janek — wójt samorządu, złożył przy
dzieleniu się opłakiem życzenia lic-
niej, niż zwykle zebranej „dzieciarni”
z całej wsi. Częściowo zrobił to wier-
szem, co się ogólnie podobało.

Potem — przy kawie (którą ugo-
wały dziewczęta) i przy piernikach tak
jakoś samorządnie zaczęły się popisy.
Ktoś zagrał na harmonii, ktoś zaśpie-
wał, ktoś powiedział jeden i drugi
wierszyk o Gwiazdce. Teraz dopiero
w całej pełni wytworzył się nastrój
świąteczny, wigilijny.

Wtem ktoś — niby nieumyślnie! —
zwrócił uwagę na okno. Rósł za nim
świerk. Dzieci tak się do niego przy-
zwyczaiły, że nie zwracały wcale na
niego uwagi. I dziś w pośpiechu bie-

gnąc do świetlicy, nie rzuciły w jego
stronę okiem.

Lecz co to? Dzieci skupione przy o-
knie, oczom nie dowierzają! Ich
świerk — przemienił się w najprawdzi-
wszą choinkę!

To właśnie była największa „gwiazd-
kowa” niespodzianka samorządu VI
klasy. Ale muszę Wam opowiedzieć
wszystko od początku. Szóstoklasistom
na jednej z grudniowych lekcji przy-
rody opowiadał nauczyciel, że przed
wojną za mową Polska pod względem
zalesienia 13 miejsce w Europie, a po
rabunkowej gospodarce okupanta, ilość
lasów spadła u nas tak przeżajając,
że Polska zajmuje obecnie jedno z o-
statnich miejsc. Wycinanie choinek na
Gwiazdkę też niszczy corocznie wiele
hektarów młodego lasu, więc dzieci
VI klasy postanowiły jednogłośnie o-
być się wszystkie bez choinki. I w do-
mach i w świetlicy.

Ale Janek, jak to Janek: zawsze coś
nowego wymyśli. Aby dzieci nie po-
zbawiać radości choinki — postano-
wił zamiast w świetlicy, urządzić cho-
inkę przed świetlicą. Bo przed jej o-
knem rósł — jak już wspomniałam —
rozłożysty świerk. Więc na nim pou-
wiszał Janek szereg niezwykłych re-
czy: rozłupane orzeszki, kłosy zboża,
kawałki tarczy słoneczników i w pu-
dełkach od zapalek posład i najrozma-
itsze ziarenka i kruszyny.

Zapatrzyli się dzieci w tę prze-
dziwną choinkę. Między jej gałązkami
uwija się skrzydlata mała zgraja, rado-
sny harmidrem napieniając powietrze.
Zgrabne — szare brązowawe, czasem na
kolorowo upstrzone ptaszka śmigają
między gałązkami, przysiadają na nich
i dżobią, co się da.

— Ptaszka choinka! — zakrzyknęło
ktoś z dzieci.

— Pssst... cicho... upomniał Janek

— Nie trzeba ptasząt płoszyć. Czy ta
choinka nie jest najpiękniejsza z całej
wsi? Wszystkie jest prawdziwe! A pta-
szki, które się zlatują — to największa
jej ozdoba.

— Popatrzcie! Nadleciał gil z czer-
wonym gardziółkiem!

— A tu sikorka!

— Tam znów jemioluszką! Ale naj-
większy apetyt mają wróble!

Coraz to inne padały uwagi, coraz
gwarniej było w świetlicy. d. w. b.



zamku, jakiś miły zapach w korytarzu...
Wszyscy dziwnie onieśmieleni zdejmują
wierzchnie okrycie. Potem pani de-
legatka prowadząc najmłodszą Anetkę
za rączkę, idzie korytarzem — i znów
otwiera drzwi.

Choinka! Najśliczniejsza choinka!
Taka, o jakiej dzieciom nie raz opowia-
dali w dalekiej Francji rodzice.

Od ziemi aż do wierzchołka wiesz na
wysokim aż po sam sufit drzewku róż-
nobarwne lalki, motyle, jakieś ptaszki
i pajęczki, złote łańcuchy i wycinanki.
Ani się dzieci nie spostrzegły, a pani za-
palila świeczki i zgasiła elektryczne
światło w pokoju.

Znalazł się i opłatek — symbol mi-
łości i zjednoczenia. Spłakali się
wszyscy przy wza emnie sobie składa-
nych życzeniach. W Polsce — w tej
utęsknionej, ukochanej Polsce, która
ich tak serdecznie przyjęła...

Gdy się nacieszyli ślicznością
wszystkim na choince, obejrżeli mies-
kanie. Niewielkie było, ale czystutkie
i takie jakieś miłe, przytulne, swojeli
i kompletnie urządzone!

Ale tu nie koniec niespodziankom,
jakie czekały tego dnia naszych ro-
daków z Francji: pani delegatka, osoba
starsza i samotna, za cenę wspólnego
spędzenia wieczoru z pp. Sibilskimi,
przygotowała wiecez w wigilijną! Był
i barszcz, i grzybki, i kapusta, i kluski
z makiem. Wszystkie tradycyjne pol-
skie wigilijne potrawy.

*

A za oknami, śnieg...

Z tym skrzącym (od blasku gwiazdy)
śniegiem w oczach zasnęła Zosia, Mar-
cel i Anetka w swą pierwszą noc na
ojczystej, gościnnej ziemi.

Danuta Białasikowa

A w kółeczko, a wesoło!



Wesoła — to wakacje, to za-
bawa. Najlepiej na wolnym
powietrzu: na dziedzińcu
przed szkołą lub gdziekol-
wiek na placu, bo najwięcej
tam swobody. Można bie-
gać, można pokrzykiwać we-
soło — a nikomu się nie
przeszkadza.

Czy znacie zabawę w wiewiórki?
Dzieci stoją parami w kole. Pary
zwracają się do siebie twarzami i po-
dają sobie ręce, tworząc (tak „na niby”,
oczywiście!) dziuple dla wiewiórek.

W każdej dziupli stoi jedno dziecko
jako wiewiórka. Jedna z wiewiórek

jest bezdomna. Nie ma swojej dziupli
i stoi samusienka w środku koła.

Na znak dany przez kogoś, kto nie
bierze udziału w zabawie (najlepszy
znak — to gwizdek) wszystkie wie-
wiórki wybiegają ze swych dziupli i
szukają innych. Z tego korzysta dzie-
cko stojące w środku i stara się zająć
jakąś dziuplę. Najczęściej się to udaje.
I znów pozostaje jakieś inne dziecko
w kole i zabawa rozpoczyna się od po-
czątku.

Spróbujcie się w „wiewiórki” zaba-
wić, a zobaczycie, ile będzie przy tej
zabawie ruchu i śmiechu!

(b)